

Żółte volvo

Nie ma większego trzeszczenia – pomyślałam, gdy ciężarówce udało się ruszyć. Do tego to wszechtelepanie. Części, cząsteczek, blach, blaszek, śrubek, nakrętek, uszczelek, klamek, gałek, pokręteł, dźwigni, butelek za siedzeniem kierowcy, zegarka na jego ręce i kości pod bladą skórą. Nie szczękały tylko jego zęby, bo ich nie miał. Ale ja je miałam, czego w tej chwili po raz pierwszy w życiu (nie licząc kilku wizyt u dentysty) żałowałam bardziej niż „grzechu brzydkich wyrazów” przy pierwszej spowiedzi.

Do tego wiało. Z góry, z boku, z dołu, z wykruszonej szyby w drzwiach i ze szpar pod drzwiami.

Dmuchawa grzejniczka wyła i nie nadążała z roztopianiem śniegu, który oblepiał gumowy dywanik na podłodze i nasze buty na białe, buro, szklisto, znowu białe, znowu buro, znowu szklisto.

Gazeta, którą próbowałam zatkać dziurę w oknie, wypadła na szosę i oddalała się od nas z prędkością 40-tu telepiących kilometrów na godzinę.

-Pani się nie boi ! - zabalgotał kierowca- Pani pulchniejsza troszkę niż papier to i nie wypadnie!- śmiał się, aż zaparował lusterko i na chwilę zagłuszył silnik

-Jeszcze z godzinkę- obiecywał- i będziemy w Ciechanowie. Ja pod sam dworzec podwoję, bo za dworcem właśnie skręcam w lewo. A tam już pani PKS łapie, albo i pociąg wygodniutki. Nawet lepiej pociąg, bo autobusy to słabizny. Stanie w zaspie tak jak ten, co nim pani dziś z Mławy wyjechała i nigdzie nie dojechała!

Nie, nie bałam się. Bardzo byłam wdzięczna, że mnie zabrał z tej zasp. Lepiej tak, niż na poboczu w taką zawieruchę. Zawsze do przodu, a nie w miejscu i w ogóle porządny niego człowiek, że mnie zabrał. Jedzie się i tylko to jest ważne.

Chyba mi nie uwierzył.

- A że śmierdzi troszkę, też nie przeszkadza?!- zawołał chyba zadziornie, choć nie byłam tego pewna, bo podwozie ciężarówki otarło właśnie o zamarznąłą brudę. Zadudniło, zacharczało, zatrzęsło, a jego słowa zarzuciło gdzieś pod sufit, gdzie były już mniej czytelne.

- Troszkę!- dorzuciłam równie wysoko na następnej bruździe.

- To krowy. Z naszej spółdzielni- wyjaśnił. Cały ładunek do rakarni. Będzie trzy dni jak padły, bo im poszkodziło. A bo ja wiem co? - rozkrzyczał się na dobre.- Gdzie się leje, tam się i rozlewa. Jak z dwustu dziesięć ubędzie, to i żadna strata. Tak mówią przynajmniej- zamilkł. – Tyle, że śmierdzi-dodał po chwili niekonsekwentnie. - Jak jasna cholera cuchnie. Ale mnie tam wszystko jedno. Nie takie gówno przez trzydzieści lat za kółkiem woziłem.

I opowiadał o cysternie z jakąś chemią, co już dawno zakazana, ale on nie wiedział. Dostał kurs z Polic do lasu, to wywiózł. Mądrzejsi od niego byli od myślenia. Tak mu się przynajmniej wydawało. Albo jak trzy lata obracał beczkowitzem od szamba do szamba.

- Do tego jak człowiek do domu wrócił- wrzeszczał- to też mu nic nie pachniało. Dzieciaki na nocnikach, teściowa za kotarką i gnojownik za oknem. 15 lat tak żyłem. We wsi, niedaleko, gdzie mnie pani zatrzymała. A w tej spółdzielni, skąd te krowy, obiecali mi robotę z mieszkaniem. Bez namysłu spakowałem na furmankę rodzinę, szmaty, gary i szafę i się przeprowadziłem. Pamiętam jak dziś, choć już dwunasty rok mija. Też był styczeń, pogoda jak teraz. Wszystko na biało przysypane. Chałupa licha jak stajenka betlejemska, ale za to z wodą w kranie. A tuż za oknem w kuchni rzeczka. Całkiem zamrznięta. Dzieciaki miały ślizgawkę.

Ale przyszła wiosna. Lód puścił i rzeczka okazała się zwykłym ściekiem i wylęgarnią robactwa- wykrzywił się i prawie zawył.- Pani nawet nie wie ile jest rodzajów tego świństwa. Ze skrzydłami, bez skrzydeł, czarne, zielone, błyszczące...Pcha się to tałatajstwo do domu przez okna, drzwi, a nawet jak

Wszystko pozamykane, to się zaraza jakąś szparą wciśnie. O smrodzie już nie wspomnę, bo zanudzę panią. Człowiek się jeszcze stary nie czuje, ale iść stąd nie ma odwagi. Bo i gdzie? Innego fachu jak szoferski już nie złapię, a i roboty drugiej z mieszkaniem nie znajdę.

W końcu zamilkł, trochę jakby zawstydzony. Kiwał głową na boki, jakby coś w niej chciał poukładać i poprzesuwać. Chyba szukał nowego tematu.

-A wie pani?!- wykrzyknął prawie radośnie – jakie największe świństwo w życiu wiozłem? Człowieka! Nie ubliżając. Może źle powiedziałem, człowieka. Prezesa tej spółdzielni, w której przedtem robiłem. Zalany był gorzej jak stróż na pustym placu. Z taką jedną, co w biurze liczyła wypłaty. Powzdychał, posapał i wyznał, że na pace by chcieli jechać, bydlaki, a nie ze mną w kabinie.

Bóg jeden wie co tam robili, chociaż kierowca wolałby Boga do tego nie mieszać. Uszy miał jeszcze wtedy dobre i wszystko słyszał. Za to z tych nerwów tak zarzucał wozem na zakrętach, że aż nimi po całej pace wyturlało.

Myślał, że go za to prezes wywali z roboty. Ale nie wywalił. Więcej! Przydzielił całej rodzinie bilety na wycieczkę do Warszawy, chociaż inni pracownicy tylko po dwa bilety dostawali.

- Tak mnie chciał przekupić śmierdziel jeden. Gorsze od niego było tylko to masło, co się zakwasiło. Dwie tony...- zaczął kolejną historię.

Wycieraczki z trudem zgarniały śnieg. Całkiem zresztą niepotrzebnie, bo i tak nic nie było

widać. Ani drogi, ani drzew, ani innych samochodów. A co najgorsze nie było widać Ciechanowa.

Chciałam już tylko nic nie słyszeć. Stopniowo wszystkie dźwięki stawały się jednością. Trzeszczenie ciężarówki, szczykanie moich zębów i złote myśli kierowcy o życiu szoferów, których zasrany los niewdzięczny i telepiący na całym świecie jednaki.

Już się prawie udało. Już Ciechanów nie był taki ważny, zimno nie dokuczało tak bardzo, bo nie można drugi raz zamarznąć, jeśli się przedtem nie odtajało. Kontrolki paliły się coraz słabiej, łagodnie i zielono. Za okna ciężarówki jakby ktoś powstawił zepsute telewizory. Nic, tylko bure tło w białe ciapki, w dwóch miejscach podżółcone strużkami bladego światła.

To nagle wycie z lewej strony i oślepiająca jaskrawość wybuchły jednocześnie i tak niespodziewanie, że przez chwilę nie mogłam pojąć, co się stało. Przez moment w kabinie zrobiło się jaśniej niż w słoneczny dzień. Zupełnie jakby ktoś robił nam zdjęcie z potężnym fleszem albo piorun uderzył tuż za lewymi drzwiami. Silny podmuch zniósł nas na krawędź szosy. Przez krótką chwilę widzieliśmy to, co przesuwano się obok nas, pędząc w przeciwnym kierunku. Błyszczącą szybę, obłe skrzydło lusterka, oparcie fotela, potem długie, żółte cielsko rozparte na opasłych kołach.

I znowu spokój. Nasz Kamaz zaprychał i potelepał się dalej. Kierowca milczał. Tylko oczy mu lśniły ni to złością ni radością. Nie spojrzał ani za siebie, ani na wskaźniki, ani na mnie. Zaczęłam się obawiać czy patrzy przynajmniej na drogę, czy też nie widzi nic, oprócz tego, co minęło nas przed chwilą i oddalało się, dorzucając do naszej czterdziestki swoje sto parę na godzinę.

-TIR-y- odezwał się w końcu. -TIR-y cmoknął i westchnął.- Taki w TIR-ze to ma fotel jak w samolocie – wyluszczał flegmatycznie i słyszałam go dobrze, chociaż wcale nie krzyczał. – Taki w TIR-ze jak usiądzie, to wszystko widzi z góry. Całą drogę i w ogóle. I łóżko ma w środku, do spania, jak się zmęczy- cmoknął i znowu się uśmiechnął jak dziecko do resoraka. Z namaszczeniem opowiedział mi o buczyku do budzenia, wyciszaczach, podgrzewaczach, jakichś osiach, rozstawieniu, zawieszeniu.

„Taki w TIR-ze” stawał mu się coraz bliższy. Jak przyjaciel, wręcz brat, może nawet bliźniaczy. Aż w końcu chuderlawy grzbiet kierowcy wyprężył się dumnie w powyginanym fotelu, głowa wysunęła się z ramion, koścista dłoń uderzyła w klakson bez powodu, a on sam wykrzyknął

- Jak jeździłem takim TIR-em...- zawahał się jeszcze, mimo to resztę historii opowiedział bez skrepowania w pierwszej osobie.

- Taki sam żółty był, volvo i to z przyczepą. Szesnaście kół bezdętkowych, silny jak bestia. Po szosie szedł jak po szynach. Sunął po prostu- kierowca przemawiał słodko. – Raz taką przygodę nim miałem. Wiozłem papier listowy i koperty z Holandii. Pogoda była psia jak dziś. Mróz może nawet większy. Oczy mi się zamykają, a specjalny buczyk reagował od razu i budził automatycznie. Myślę, nie ma żartów. Trzeba się przespać. A tu zasy dookoła, ciemno. Nagle widzę, jest. Polna droga w las. Wjeżdżam, a tam polanka. Gładziutka, elegancka, bez jednego krzaczka. Zaparkowałem. Łóżeczko sobie wymościłem, ogrzewanko leciutko nastawiłem i w kimę. Jak się obudziłem, całkiem było jasno. Oczy otwieram i nie wierzę. Dookoła mojego volviaka dzieciaki śmigają na łyżwach. Na środku stawu się zatrzymałem! Wycofałem się wolniutko na szosę, bez zawracania. Szczęście, że roztopów nie było, bo bym poszedł na dno! Głęboko nie musiało być. Kabina szczelniutka. Ciekawe na ile by mi tlenu wystarczyło? Gorzej z ładunkiem. Całkiem by się zmarnował, bo to tkaninki francuskie na kiecki były.

- Tkaninki?! – wyrwało mi się głupio i niepotrzebnie

- Mówiłem przecież, z Paryża wiozłem. Dla takiej firmy warszawskiej. Całe życie tam pracowałem. Robotę zmieniłem z przyczyn rodzinnych. Domek mi tu dawali, a żonie się okolica spodobała. I powietrze tu dla zdrowia lepsze.

Przez chwilę zważyłam czy jestem w tym samym samochodzie i czy człowiek za kółkiem jest tym samym łaskawcą, który zabrał mnie z zasy pod Mławą, czy też się przesiadłam? Najpierw dyskretnie wciągnęłam powietrze w nozdrza. Tak, to był na pewno ten sam samochód z tym samym ładunkiem, któremu trzy dni temu poszkodziło. Spojrzałam w lewo. To był ten sam chudy profil, co godzinę temu. Tylko historia mi nie pasowała. Ani do ładunku ani do profilu. Zupełnie przytomna i pewna swego chciałam mu powiedzieć, że taki bajer o TIR-ze na stawie mnie nie kręci, że aż taka młoda i głupia to ja nie jestem, że za podwiezienie jestem wdzięczna, ale bez przesady....ale kierowca zaczął odpalać papierosa. Zapalniczka podskakiwała, wraz z ręką i resztą jego ciała, na muldach. Płomień zamiast zatrzymać się na swoim miejscu pełgał i podświecał mu twarz. Może to dlatego, a może i nie, wydawało mi się, że ta twarz jaśniała. Milczałam. Kierowca brnął w szczegóły i się do tych szczegółów uśmiechał. Nie zauważył nawet, że to już Ciechanów, a w Ciechanowie on za dworcem musi skręcić w lewo.